

Jan Żółtowski
(str. 87; 90; 91 Albumu)

Moje wspomnienia lata 1937-1946

W drugiej połowie 1937 roku przeprowadziliśmy się wraz z całą rodziną: Mama, Tata, Jola i ja, z Warszawy do Starachowic. Tutaj Tata podjął pracę w Towarzystwie Zakładów Starachowickich, gdzie produkowano działa przeciwlotnicze "Bofors" na licencji angielskiej oraz działa bardzo nowoczesnej konstrukcji polskiej kal. 75 mm. Z moich wspomnień pamiętam bardzo ładny dom i ładne mieszkanie oraz beztrudne zabawy z dziećmi sąsiadów.

W szczególności z dziećmi państwa Piątkowskich, Zosią i Tadziem, z synem Tomkiem państwa Pierożyńskich, który zasłynął powiedzeniem do mojej Mamy mając zaledwie 4 lata: „*Proszę pani, moja mama denerwuje się i złości, gdy mówię jej, że jest głupia - ale przecież sama pani widzi*”, oraz z synem Wieśkiem państwa Mirackich.



Autor wybiera się na bal przebierańców jako kominiarz.
Karnawał 1938 r.



Pamiętam nasz samochód DKW, którym jeździliśmy do Rejowa na kąpielisko, do Masłowa, gdzie było lotnisko z samolotami, oraz do majątków naszych licznych krewnych.

Niedzielne kąpiele w rzece Kamienna

Henryk Łukaszewicz, Jola Żółtowska,
Mama - Anna Żółtowska, Autor - Jasiek
Żółtowski, Irena Żółtowska,
Ewa Wietrzykowska,
Tata - Kazimierz Żółtowski daje nurka.



Pamiętam wyjazdy do majątku w Brzeziu z Ciocią Oleńką i jej córkami Ewą i Marysią i synami Wojtkiem i Włodkiem. Włodek był mało towarzyski, w przeciwieństwie do jego brata Wojtka.

Odwiedzaliśmy majątek Usarzów z Babcią Marią, ciocią Wandą i synem Józefem. Był tam również pies Lord, którego bardzo się bałam, pomimo że był łagodny. Był większy ode mnie i skakał na mnie przy powitaniu.

Majątek Rożki, gdzie panowała ciocia Hanna i Marian Rudzcy z trzema synami.

Jeździliśmy również do Chwałowic, gdzie był wuj Zygmunt Zaleski z żoną Marią i córkami Krysią i Winią. Chwałowice były w pobliżu Ilży, gdzie chodziło się do kościoła lub jechało końmi.

Pamiętam wyprawę do majątku Kanie (po drugiej stronie Wisły), gdzie władzę sprawowała ciocia Zonia. Zabudowa, która był już chyba pałacem, a nie typowym dworem. Był to jedyny majątek, który pamiętam z czasów przedwojennych, gdzie było światło elektryczne i łazienka z wodą bieżącą.

Pamiętam też wyjazd do Trzyciąża, gdzie wuj Stefan Targowski był dyrektorem Szkoły Rolniczej. Tam też poznałem moje cioteczne rodzeństwo, Basię i Krzyśka. Był to chyba rok 1938. Po raz drugi odwiedziłem Trzyciąż w 2001 roku. O dziwo, bardzo dobrze zapamiętałem te miejsca, gdzie wtedy chodziłem i gdzie byłem. Przede wszystkim dom Wujostwa, który stał teraz pusty, przeznaczony do rozbiórki. Zaglądałem przez okna. Widziałem salon i miejsce, gdzie stał fortepian, gdzie była kuchnia i okno od pokoju, w którym spałem.

Obok Trzyciąża jest Zadroże, gdzie jest kościół, w którym proboszczem był wuj Wacek Jabłoński. Do kościoła było ok. 3 km. Dla mnie było udręką forsowanie tego dystansu. Pocięchą było to, że po mszy szło się gromadnie do wuja na plebanie na herbatę z szarlotką.

Niewątpliwie ten czas mojego życia do II Wojny Światowej jest w mojej pamięci piękną, niczym nie zmaconą sielanką. W 1939 roku mieliśmy w sierpniu jechać nad morze do Orłowa. Tuż przed wyjazdem usłyszałem, jak ojciec powiedział głośno, że nie pojedziemy, bo psuje się pogoda. Sens i znaczenie tego zdania zrozumiałem oczywiście znacznie później.



Powyżej - Brzezie; poniżej - Usarzów



Kanie - ciocia Zonia i wujek Staszek

Tymczasem wybuchła wojna. Atmosfera w domu była nerwowa, liczne rozmowy i narady. Tata zawiózł nas do Brzezia, tzn. Mamę, Jolę i mnie. Byliśmy tam parę dni. A kiedy zdecydowano ewakuować Zakłady Starachowickie na wschód, do Kowla, gdzie miała być kontynuowana produkcja armat, Rodzice postanowili nie rozstawać się i wszyscy pojechaliśmy naszym samochodem. Oczywiście nic nie wiedziałem i nic nie rozumiałem, ale, jak pamiętam, szybko zauważyłem, że nie jedziemy sami, ale w kolumnie samochodów, które należały do pracowników zakładu. Za nami jechał autobus, też z pracownikami, a w nim nasza kuzynka Irka Żółtowska, która akurat była u nas w Starachowicach. Zostawiliśmy mieszkanie, w którym została nasza pomoc domowa, Zosia Granatówna, i dwa ciemnobrązowe jamniki, Cis i Markiz. Dowiedziałem się też, że jedziemy do miasta Kowel, gdzie miały być dalej produkowane armaty. Nazwa tego miasta była mi zupełnie obca. Pamiętam, że pogoda była przez cały czas słoneczna. Po drodze przejeżdżaliśmy przez Wisłę mostem w Annopolu. Most był ogromny, ale cały drewniany. Na moście stali żołnierze z kanistrami z benzyną. Mieli oni podpalić most, jak nasza kolumna przejedzie. Czekali na nas, tak mówił wtedy Tata. Nie mogłem pojąć, taki piękny most, a na nim tacy smutni żołnierze. Zawsze widziałem wesołych żołnierzy.

Dalej jadąc wstąpiliśmy do Kaniego do cioci Zoni. Zastaliśmy tam pełno ludzi, uciekinierów. Były kłopoty ze spaniem. Wyjechaliśmy następnego dnia. W czasie dalszej drogi wielokrotnie wysiadaliśmy z samochodu w pośpiechu i musieliśmy kłaść się w rowach, bo leciały niemieckie samoloty. Nie widziałem ich, ale je słyszałem. Następnym wydarzeniem, które pamiętam, to był długi postój na jakimś skrzyżowaniu. Panowie z naszej kolumny, gdzieś chodzili, rozmawiali, stali w grupkach. Dopiero parę lat później dowiedziałem się, że staliśmy wtedy na skrzyżowaniu ze słynna Szosą Zaleszczycką. Tam podejmowano decyzję, gdzie mamy jechać, czy nadal do Kowla czy do Rumuni. Zwyciężył patriotyzm i pojechaliśmy do Kowla. Biegu dalszych wydarzeń prawdopodobnie nikt się nie spodziewał. Nastąpiło spotkanie z Armią Czerwoną. Chyba to było tuż przed Kowlem. Oczywiście wszystkich aresztowano, oddzielono mężczyzn od kobiet. Znaleźliśmy się w jakiejś szkole, gdzie chyba przebywaliśmy kilka dni. Następnie rozparcelowano nas po okolicznych wsiach. Mieszkaliśmy w jednej izbie w grupie ok. 10 osób. Spaliśmy na tzw. barłogu, który leżał wzdłuż ściany, a na dzień był zwijany. Nasza wegetacja trwała tam do połowy listopada. Nasza grupa postanowiła uciekać stąd w kierunku zachodnim. Szliśmy w nocy prowadzeni przez wynajętego przewodnika, prawdopodobnie dobrze opłaconego. Ja byłem czasami niesiony na rękach, trochę biegłem. Pamiętam jakieś zagajniki, laski itp. Była już szarówka, gdy przewodnik powiedział, że tu już do nas nie będą strzelać i można już iść wyprostowanym. Pamiętam nastrój jaki zapanował, gdy dotarło do wszystkich, że jesteście już „pod Niemcami”, a to znaczy, że będzie lepiej.

Dalej podróżowaliśmy w różny sposób. Dotarliśmy do Brześcia, a stąd pociągiem do Warszawy. Zatrzymaliśmy się u Babci Misi (Maria Wolmanowa) na ul. Wspólnej. W mieście widać było ślady wojny. Ruszyliśmy znowu do Sta-

Starachowic. Dotarliśmy wreszcie do naszego mieszkania, gdzie powitała nas Zosia i jeden jamnik Markiz, bo Cisa zabrali Niemcy.

Po jakimś czasie Niemcy wyrzucili nas z domu. Przenieśliśmy się do nowej dzielnicy w zachodniej części Starachowic w Orłowie i zamieszkaliśmy na piętrze w domu pani Firlejowej. Dla mnie nastąpiła pewna stabilizacja. Zacząłem chodzić do szkoły. Pojawiły się kartki żywnościowe. Tata podjął pracę w sklepie spożywczym. Nie ujawnił się, że pracował w Zakładach. Niemcy przystąpili do uruchomienia produkcji. Słyszałem z rozmów starszych, że mają kłopoty ze skompletowaniem załogi do fabryki. Ojciec uczennicy z naszej szkoły został zastrzelony na ulicy za zbytnią nadgorliwość w pracy w Zakładach.

Do Starachowic sprowadził się też wuj Andrzej Wrzesiński (brat mojej mamy) z żoną Jadwigą i zamieszkali w dzielnicy o nazwie Majówka. Moi dziadkowie, Stanisław i Faustyna Jadwiga Wrzesińscy, zamieszkali w pobliżu wuja Andrzeja. Troszkę później Tata ulokował również na Majówce ciocię Marysinę Bojanowską z dziećmi. Byli uciekinierami ze swojego majątku w Niechłodziu, który leżał tuż przy granicy niemieckiej w Wielkopolsce. Początkowo zatrzymali się w Usarzowie, ale tam było już bardzo tłoczno, więc osiedli ostatecznie też na Majówce.

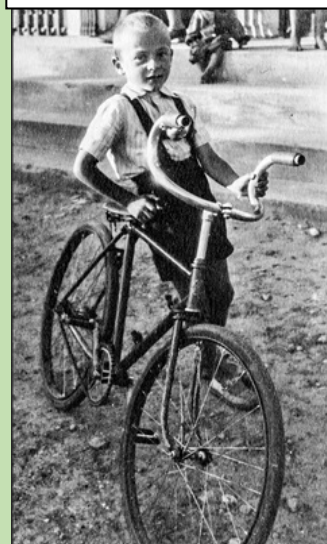
Ciocia Marysia miała sześcioro dzieci. Najstarszy Maciej (głównie bywał u nas), pamiętam, że uczył się różnych języków, Eleonora, zwana Lolą, Józef, Jasio, Iza i Zosia. Józef i Jasio byli w partyzantce i na Majówce bywali rzadko. Lola pracowała w sklepie spożywczym, który był na parterze naszego domu.

W roku 1941 zmarła moja Babcia Faustyna Jadwiga Wrzesińska (z d. Jagielska). Babcia, z uwagi na stan zdrowia, przebywała większość czasu w domu wuja Andrzeja. Tam ją odwiedzaliśmy i tam zmarła. Pogrzebu nie pamiętam wcale. Myślę, że uznano, że jestem za mały i po prostu na pogrzebie nie byłem. Babcia była przyrodnią siostrą nieżyjącego od 1937 roku Józefa Bojanowskiego, który był mężem cioci Marysiny z Niechłodu.

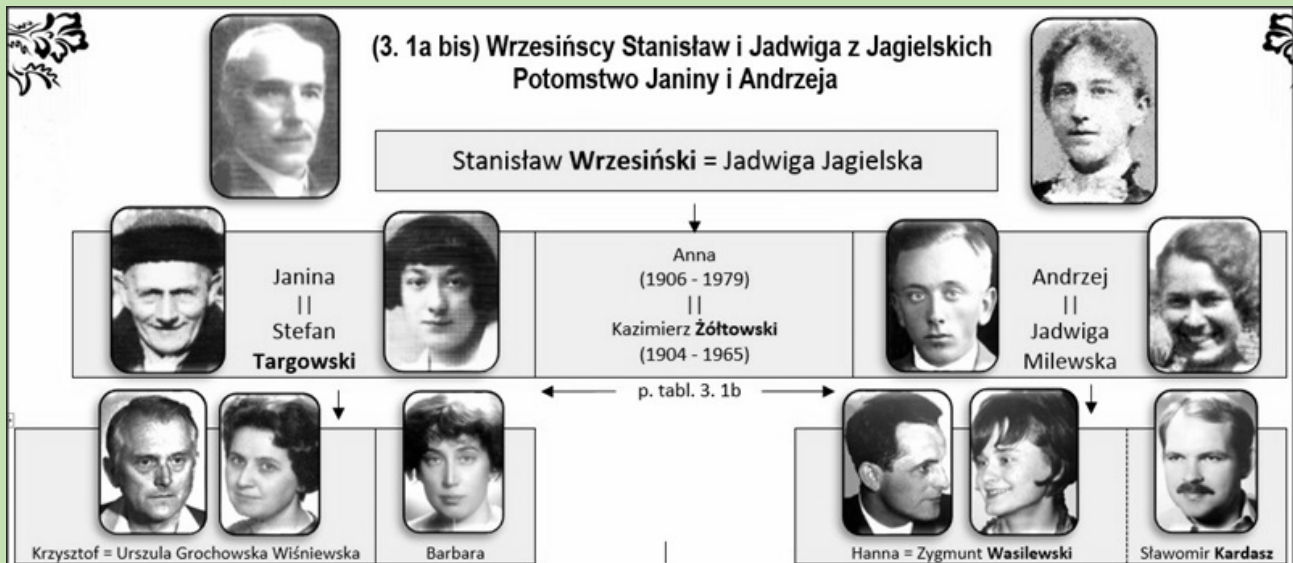
Moi rodzice byli mocno zaangażowani w działalność konspiracyjną. Coś tam wiedziałem, o czym nie wolno było mówić, ani rozmawiać z nikim. Faktycznie zupełnie nie zdawałem sobie sprawy, o co dokładnie chodzi. Niestety, 21 sierpnia 1943 roku, w wyniku jakiegoś donosu, cała sieć AK w Starachowicach została aresztowana, w tym nasi rodzice i Lola Bojanowska. O piątej rano Gestapo wpadło do mieszkania. Dom był otoczony, robili rewizję, przewrócili całe mieszkanie do góry nogami, wyprowadzili rodziców. Zostaliśmy w domu sami, Jola, ja i nasza kuzynka Irka



Maria Bojanowska z dziećmi.
Poniżej - Autor w roku 1943



Żółtowska. Pierwszego dnia opiekowali się nami sąsiedzi, przede wszystkim pamiętam panią Wąsicką. Po południu odwiedziła nas Iza Bojanowska. Potem przyjechała z Brzezia Babcia Mizia. Myślę, że była z nami około tygodnia. Były narady rodzinne, co robić dalej. Te rozmowy dotyczyły głównie, co z Rodzicami i co dalej z nami. Ostatecznie stało na tym, że będziemy pod opieką wujostwa Targowskich.



Ciocia Nina z Basią przyjechały do nas też z Brzezia. Krzysiek był już chyba troszkę wcześniej u wuja Andrzeja na Majówce. Odwiedziła nas jeszcze ciocia Jadzia Grotte z Warszawy (siostra Taty), miała zabrać Irkę do Warszawy,

ale jej nie zabrała. Wuj Stefan Targowski, żona Janina (siostra mamy) i dzieci, Krzysiek 6 lat starszy ode mnie, i Basia, moja równolatka. Wujostwa znałem dobrze, widziałem Ich wiele razy i byłem w Trzyciążu. Wujostwo musieli opuścić Trzyciąż też w wyniku jakiegoś donosu i przenieśli się też w nasze okolice. Wuj zajmował się zarządzaniem majątkiem Grzegorzowice, który był własnością pana Rauszera. Pan Rauszer musiał się ukrywać za działalność konspiracyjną i nie mógł na stałe bywać w swoim majątku. Tak więc my zostaliśmy w naszym domu. Mieszkaliśmy w pięć osób i nasza gosposia pani Marynia. Ciocia Nina miała nieco inne usposobienie niż nasza Mama. Tak więc w domu zapanowała większa stabilizacja, dyscyplina, rozkład dnia, zbiorowe posiłki, nauka i wieczorne czytanie książek. Ciocia czytała książki na głos, a my wszyscy siedzieliśmy w koło. Czasami z tego czytania zwalniany był Krzysiek jako starszy. Ponadto zaczął nas obowiązywać cały szereg zasad, takich jak odpowiednie siedzenie przy stole, właściwe trzymanie rąk, trzymanie sztucców i inne szczegóły określające właściwe zachowanie. Nie chcę przez to powiedzieć, że nasza Mama tych zasad nie przestrzegала, wydaje mi się, że była osobą wychowującą dzieci metodą, które obecnie nazywa się bezstresową. Oczywiście nie znała tego określenia i nie zdawała sobie sprawy, że ją realizuje. Patrząc wstecz na tamten czas uważam, że razem z Jolą jesteśmy naprawdę bardzo wdzięczni za opiekę i troskę Wujostwa nad nami. Ich wielki wkład i trud w przetrwaniu tej piekielnej wojny nie da się przecenić i cały czas noszę w sobie pamięć o Cioci, pamiętam Jej dobroć i czułość w stosunku do nas. Na pewno ja w tym dzieciennym jeszcze wieku byłem nieznośny i przysparzałem wiele kłopotów. Wtedy na pewno nie w pełni zdawałem sobie sprawy z całej tej sytuacji, tak jak powinienem. Pamiętam, jak kiedyś zwróciłem się do Cioci z prośbą, czy mogę, bo chciałem mówić do niej „Mamo”, tak jak Basia. Pamiętam spokojną i poważnym głosem odpowiedź Cioci: *"Jaśku, póki Twoja Mama żyje, a wiemy, że żyje i wierzymy w to, że wróci do Ciebie i do Joli, nie powinieneś mówić do mnie mamu. Bardzo Ci dziękuję, że tak mi ufasz."* Mówiąc to przytuliła mnie mocno. Tymczasem u wujostwa Andrzejów urodziła się córeczka Hania. Byliśmy ją oglądać oczywiście. Piechotę pół godzin dla mnie to było daleko...

Nie jestem pewny, ale wydaje mi się, że po aresztowaniu rodziców nie poszedłem już do szkoły. Nauki pobieraliśmy w domu. Przychodził do nas pan nauczyciel, elegancki pan. Mieliśmy z nim zajęcia, Basia i ja. Reszta towarzystwa była na tyle starsza, że działo się to jakoś inaczej. Oczywiście naszemu nauczycielowi dorobiliśmy szybko przezwisko pt. "Zagłada". I tak to pozostało, a słowo przyjęło się bardzo dobrze i nie tylko my go używaliśmy. Pomimo tej ksywki lubiliśmy go na swój sposób, bo był bardzo miły i cierpliwy.

Zaopatrzenie w żywność całej naszej rodziny, która podczas tej naszej wędrówki wojennej było na pewno dużym problemem. Uwzględniając „Majątkę” było nas 18 osób. Nie wiem, jak to się działo, ale pamiętam, że od czasu do czasu „przychodziły konie” z Brzezia. Przywoziły jakieś prowianty. Konie przychodziły do nas na Orłowo lub do wuja Andrzeja. Zawsze powoził stangret o imieniu Jasiek. Sądzę, że z Grzegorzowic, może via Brzezie, też coś dociera-

ło. Z Grzegorzowic było znacznie dalej niż z Brzezia. Końmi jechało się do Starachowic 5 do 6 godzin. Były plany, że w lecie 1944 roku pojedziemy na trochę do tego majątku w Grzegorzowicach, pan Rauszer zapraszał. Rzeczywiście pojechaliśmy, ale w jakże tragicznych okolicznościach. Na początku maja banda podająca się za AL (potem okazało się, że byli tam kiedyś, a teraz byli zwykłą bandą) przyjechała do majątku i zażądała wydania żywności i wszelakiego zapotrzenia. Życzenie zostało spełnione. Opuścili majątek, ale po pewnym czasie wrócili twierdząc, że ktoś do nich strzelał. W wymyślonym odwecie - spalili Pałac, zastrzelili panią Rauszerową i jej przyjaciółkę, spalili tzw. Górne Podwórze w tym stodoły, powozownie, stajnie, oborę i chlewnię. Prawdopodobnie Dolne Podwórze przeoczyli lub nie wiedzieli, że jest. Wuj Targowski był wtedy w polu, teren był rozległy, dlatego być może Wuj ocalał.

Przyjechaliśmy do Grzegorzowic jeszcze raz w maju 1944 r. Chodziłem po zgliszczeniach z Krzyśkiem. Wydawało mi się, że pogorzelsko jest jeszcze ciepłe, a zapach spalenizny był bardzo intensywny. Chodziłem i podziwiałem przepiękny park. Był bardzo rozległy. Miał parę hektarów powierzchni. Było tu wszystko: różne aleje wysadzone żywopłotami, drzewami, drogi, ławki, wąwozy, mostki, staw i strumyk, który płynął w parku. Do dzisiaj widzę ten park jako przepiękne miejsce na świecie. Zamieszkaliśmy w tzw. Rządówce, która ocalała. Naprzeciwko pałacu, po drugiej stronie ogromnej lipy, stał mały domek drewniany, który miał 2 pokoje i kuchnię. W jednym pokoju, gdzie były rozstrzelane nieszczęsne kobiety, była urządzona kaplica, a w pozostałej części mieliśmy letnią kuchnię. Miałem już wtedy prawie 10 lat. Myślę, że rozumiałem ogrom tragedii i nieszczęścia, jakie spotkało pana Rauszera, w dodatku zupełnie bez sensu i powodu. Pana Rauszera widziałem kilkakrotnie. Nawet dla mnie wtedy wydawał się człowiekiem młodym. Podczas pobytu w majątku rozmawiał z wujem czasami długo, uzgadniał zapewne dalszy plan działania przy odbudowie gospodarstwa. Ruszyły bowiem prace porządkujące pogorzelsko. Chlewnia i obora były murowane, więc robiony był dach. U „Stelmacha” ruszyła w wielkim tempie produkcja wozów drabiniastych, aby zdążyć na żniwa. Na podwórzu dolnym był kowal, gdzie praca szła od rana do zmierzchu. Były tu wykonywane wszystkie okucia stalowe do wozów. Ocalał traktor Lanz-Buldog wraz z kompletem narzędzi: pługi, żniwiarki, brony i inne. Tym sprzętem opiekował się pan Mundek, z którym jeździłem na traktorze, głównie po żniwach przy oraniu pól.

Do majątku przyjeżdżali czasami Niemcy (zawsze zmotoryzowani, poważnie jeździli małym pojazdem gąsienicowym, który z przodu miał koło i kierownicę jak w motocyklu), popatrzeli i wyjeżdżali. Kilka razy odwiedzili nas partyzanci, prawdziwi, na koniach i polskich mundurach! Było to zawsze wydarzenie.

Coraz częściej słyhać było pomruki dalekich strzałów artyleryjskich oraz specyficzny daleki szum tzw. tutaj "organów Stalina" (katusze). Nie było wiadomości o Powstaniu Warszawskim. Te dotarły tu do nas ze znacznym opóźnieniem. Pomimo tej wojny trwającej dookoła życie moje, życie 10-0 latka, płynęło spokojnie i przyjemnie. Bawiliśmy się w podchody, strzelanie z łuków,

które robiliśmy oczywiście sami, i budowaliśmy szałas. Krzysiek był zawsze inicjatorem tych pomysłów. Czasami udawało się wciągnąć dziewczyny w te zabawy, acz z trudem. A bo to baby. Do Starachowic wróciliśmy późną jesienią.

Nie sposób tu nie wspomnieć o trwającym procederze wysyłania paczek żywnościowych do Mamy i do Loli, które były zarówno w Oświęcimiu jak i w Ravensbrück, zawsze razem. Chyba można było wysłać jedną paczkę na miesiąc. Pamiętam preparowanie sucharów, które były smażone w tłuszczu i jakieś inne środki spożywcze specjalnie preparowane.

Zaczęli pojawiać się uchodźcy z Warszawy. U nas zatrzymała się starsza pani, która straciła wszystko, dom, całą rodzinę, a syn zginął na jej oczach. Płakała prawie cały czas. Myślę, że nie było mi dane słuchać tych wszystkich okropności, które opowiadała ta pani. Pojechała dalej do Krakowa.

W Basi imieniny, to jest 4 grudnia 1944 roku, siedzieliśmy przy stole w jadalni. Było już zupełnie ciemno, jak rozległo się gwałtowne stukanie do drzwi. W drzwiach stał żołnierz niemiecki w hełmie, długim płaszczu z tzw. blachą na łańcuchu na piersiach i oczywiście z karabinem. Wszedł pewnym krokiem i podszedł do okna od strony ulicy, pokazał na okno i powiedział, że jest źle zaciemnione. Mieliśmy specjalne rolety, ale widocznie coś prześwitywało. Wracając popatrzył na stół, przy którym siedzieliśmy. Ciocia, mówiąca po niemiecku, wyjaśniła, że to są właśnie urodziny córki (co to są imieniny, na pewno nie wiedział). Spytał czy może się dosiąść. Oczywiście wyjścia nie było. Dosiadł się, uprzednio postawił karabin pod ścianą, zdjął hełm i płaszcz. Siedziałem jak sparaliżowany, myślę, że pozostali biesiadnicy też byli zaskoczeni tą sytuacją. Pamiętam to dokładnie, z Niemcem przy stole, jak to możliwe, widziałem ich u nas w domu, jak zabierali rodziców. Tamci krzyczeli, wywalali rzeczy z szafy, a ten całkiem inny. Dostał herbatę, ciasteczka i zaczął coś opowiadać. Spytał się potem, czy może zagrać na pianinie. Zagrał, coś zaśpiewał, ubrał się, uklonił się i wyszedł. Troszkę trwało, zanim doszliśmy do siebie. Ciocia powiedziała nam, co on mówił: mają dosyć tej wojny, marzy o powrocie do domu, ma dwójkę dzieci. Komentarzom jego wizyty nie było końca. Przecież Niemiec powiedział, że mają dosyć wojny.

Dziewiętnastego stycznia 1945 roku zmarł mój dziadek Stanisław Wrześniński. Tego lub następnego dnia weszli do Starachowic Ruscy. Po nocy pełnej strzałów i huków, gdy Niemcy wysadzali mostki na linii kolejowej Ostrowiec-Skarżysko oraz wysadzili upust na rzece kamiennej (taka mała tama), nastąpiła cisza. Pamiętam, że wstaliśmy wszyscy dosyć późno. Podszedłem do okna. Na dworze mróz, śnieg, a środkiem ulicy naszej willowej dzielnicy szedł samotny ruski żołnierz w długim płaszczu z karabinem i sterzącym do góry bagnetem i jakimś workiem na plecach. Ciocia na ten widok powiedziała powoli – "*no taaak*". Potem był pogrzeb Dziadka. Szliśmy drogą na Bugaj, gdzie był cmentarz i grób Babci. Przy drodze leżały zwłoki kilkunastu żołnierzy niemieckich wszyscy bez butów. Do końca wojny trzeba było czekać, do 9-ego maja 1945 roku. Były strzały na wiwat z budynku administracyjnego Zakładów Mechanicznych.

Nie wiem kiedy to było, ale poszliśmy, Basia i ja, do szkoły powszechnej, do V klasy i siedzieliśmy w jednej ławce. Był to budynek typowej szkoły powszechnej, parterowy, który był zajęty przez Niemców, a teraz zaczął pełnić funkcję zgodnie z przeznaczeniem. Podczas zajęć zaszło pewne zdarzenie, które napędziło nam stracha. Muszę tu powiedzieć, że Wujostwo Targowscy po ucieczce z Trzyciąża w Starachowicach mieli papiery na nazwisko Wojciechowski w celu konspiracji. Podczas jednej z lekcji zajrzał do naszej klasy dyrektor szkoły i zapytał – *"Targowska jest?"* Struchleliśmy, piętno okupacyjnego ukrywania się nadal w nas, jak widać, tkwiło. Spojrzałem z ukosa i widzę, że Basia jest w pąsach i nie wie, co ma powiedzieć. Sytuację uratowała jedna z uczennic, która palnęła głośno: *„Taka tutaj nie chodzi.”* Dyrektor się cofnął, a nam spadł kamień serca.

W dniu 17 maja 1945 r. wróciła z obozu moja Mama. Rano bladym świtem obudziły mnie rozmowy prowadzone półgłosem, chyba Cioci z Jolą, że ktoś rzuca kamyczkami w nasze okna. Wyglądam i widzę, że przy naszej furtce stoi jakaś pani. Dalej już nic nie pamiętam. Jakieś biegania, jakieś krzyki i płacze. Dopiero po jakimś czasie rozpoznałem z trudem Mamę. Patrzyłem na nią trochę nieufnie. Była całkiem siwa (a teraz wiem, że miała wtedy 40 lat), opalona. Ta wędrownia uciekinierki, ok. miesiąca, z Ravensbrück paradoksalnie pozwoliła powrócić Jej do normalności. Powitaniom nie było końca. Odwiedziny całej "Majówki", sąsiedzi, okoliczni i dalsi znajomi z miasta. Powrót Mamy był całkowitym zaskoczeniem, ponieważ informacji od Mamy z obozu nie było od dosyć dawna z powodu działań wojennych.

Powoli życie w domu zaczęło się porządkować. Mama zaczęła pracować w Zakładach, gdzie było dużo znajomych. Po pewnym czasie otworzyła sklep warzywny w Starachowicach obok stacji Kolejowej. Handlowała również hurto wo cebulą, przesyłając ją z ziemi sandomierskiej wagonami na zachód Polski.

Wujostwo Targowscy chyba gdzieś w połowie roku wyruszyli za pracą i miejscem do życia. Osiedli w Nytychu na Żuławach, obecnie Nowy Staw. Krzysiek pozostał dłużej z uwagi na maturę.

W dniu 1 maja 1946 roku powrócił do nas Tata. Powrót Jego był zapowiedziany. Czekaliśmy na stacji. Obóz Buchenwald, w którym przebywał Tata, wyzwolili Amerykanie. Więc Jego bagaż z trudem zmieścił się na furze. W sierpniu tego roku przenieśliśmy się do Gdańska, gdzie Ojciec podjął pracę w Zjednoczeniu Stoczni Polskich. Jola i Ja poszliśmy do szkół.

Jan Żółtowski, Krzyworzeka, 17 grudnia 2016



Spotkanie u ciotki Marii Łempickiej. *Kraków 19 lutego 2017 r.*

od prawej: Wanda Balcerzak-Żółtowska, Jan Żółtowski, Maria Łempicka,
Piotr Wietrzykowski oraz wnuki Jana Żółtowskiego:
Zuza Michalczuk z pieskiem Idelfiksem i Jaś Michalczuk